

MELCHIOR WAŃKOWICZ



Ziele na kraterze

PEŁNE
WYDANIE

K Kolorowa
Klasyka





Melchior Wańkowicz

Ziele na kraterze

Opracowanie tekstu i posłowie:

Grzegorz Nowak

Korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

Zdjęcia: (str. 13, 17, 93, 97, 119, 195, 241, 269, 279, 361):

MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

© Copyright by Rodzina Melchiora Wańkowicza

2019

ISBN 978-83-7517-881-4

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. (12) 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:

Wojtek Świerdzewski

Wyklejka:

Anatolij Sadowskiy, Lukasz Szwaj, Pixelbliss, yoshi0511 / Shutterstock.com

Skład i łamanie:

Pracownia Register

*Pisane po i przed wybuchem kraterów
w Azji – w Jerozolimie
w Afryce – w Meadi
w Europie – w Londynie i Rzymie
w Ameryce – w Lakewood, N.J.*

Dedykowane przyszłym ekskawatorom¹



¹ *Ekskawator* – (z łac. *excavatio* – odkrycie), tutaj w znaczeniu: odkrywca.

Radość wzrostu i rozpacz zniszczenia były w każdej rodzinie.

Pisałem przez pryzmat dla mnie najwyrazistszy – własnego domu. Ten dom w czasie pokoju miał swoje cechy ujemne, w czasie okupacji nie całopalił się, w czasie pogromu nie został porażony więcej niż inne domy.

Chciałbym więc tylko, aby czytający przez jego dzieje ujrzeli dzieje swoich domów i swoich rodzin, i żeby wspomnienie wywołane rozdarło na chwilę nieznośny osad życia.

Książka była pisana na emigracji, nie uniknąłem nieścisłości. Na przykład Andrzej Romocki (*Losy szesnastki*) nie tańczył mazura, a odtworzyć sobie właściwego nazwiska nie mogę. Po ukazaniu się krajowego wydania powiadomiono mnie, że Aniela Załęska przeżyła powstanie. Za możliwe inne nieścisłości dotyczące personaliów przepraszam uczestników i ich rodziny.

Melchior Wańkowicz

→ Kiełkowanie ←

Wielkopolskie niemowlęctwo

Najpierw był embrion.

Potem było w łonie matki zamknięte pulsujące życie.

Wreszcie był dziecinny pokój – świat nie do ogarnięcia w całym swoim ogromie, całej niespożytej różnorodności. Dla opanowania tego pokoju przebyć dopiero trzeba było całe epoki poprzez rozróżnianie poszczególnych sprzętów.

Nim się ogarnęło dziw nad dziwy – kończenie się miękkości dywanu i poczynanie się twardości podłogi, uchylanie się jednego, z lekka poznanego świata i ukazywanie się drugiego, absolutnie nierozpoznawalnego, którym było wnętrze szafy po rozwarceniu się drzwi, nim się opanowało wstrząs, jakim jest odbicie w lustrze, i zupełnie przechodzące pojęcie zjawisko szyby, po której z tamtej strony łązi mucha – dumną opoką, z której szły dzień w dzień te wspaniałe podboje, było głębokie łóżeczko, kolebusia, obciążnieta kretonem, mieszcząca w sobie zasiedziałe sprawy: kołderkę, przyjemnym ciepłem podpełzającą pod brodę, ściankę kolebusi, łaskawym cieniem wstającą między oczkami zapuchającymi na sen a dalekim mżeniem nieznanej lampy, sztucznego kota z obćmoktanym ogonem.

To łóżeczko – ład stały, prowincja pierwsza, z której powstaje imperium życia, brama wypadowa w awanturę świata zewnętrznego – pozostaje przez długie lata dziecinne czymś mającym znaczenie nadnaturalne. Jeśli w tym czymś nadnaturalnym zdarzy się jakiś ewenement, jest on przyjmowany z maksimum wzburzenia: takim jest zasiusianie prześcieradła, kiedy się już wyawansowało do wysadzania na nocniczek, wetknięcie się nagłe psiej głowy za siatkę, wtargnięcie konika polnego, spadnięcie w nocy poduszki na podłogę. Bezradność dramatycznego powiadamiania Mamy, śpiącej obok: „Mama – paduśka zgubiła się”, jest równie alarmistyczna, jak na przykład byłby pewnego dnia komunikat, że znikły kopalnie węgla i już odtąd będzie zimno.

Łóżko – czasem zdradzało. Matka, wróciwszy późno, zastawała dwie skostniałe figurki śpiące na kołdrach. Położyły się tak, żeby nie zasnąć i doczekać Mamy. Licha tam!... Zdradziło i wciągnęło łóżeczko.

Mama to rozumie – ten związek z łóżkiem. Mama jest duża – opanowała już nie tylko dręczącą zagadkę muchy za szybą, jest nie tylko bez ceremonii z wnętrzem szafy,



Zredagowałem więc numer kresowy „Świata”, zastrzegłszy połowę dochodu z ogłoszeń jako honorarium, kupiłem najlepszą, jaka była, lampę naftową, zapakowaliśmy w pieluszki wciąż chorą Krysię i pojechaliśmy na pół roku mego końcowego kucia do brata w Poznańskie, gdzie Tol, wróciwszy z kampanii pod zagończykiem Dąbrowskim, uczeplił się dzierzawczyny.

Tam właśnie przysłała na świat następną córka, Tili. Rodząc się, z punktu zademontrowała, że zamierza iść przez życie w sposób lżejszy niż starsza siostra: po prostu, wybrawszy niedzielne popołudnie, kiedy wszyscy byli w kościele, skorzystała, że Mama przechodzi od okna, pod którym bawiła się Krysia, na łóżko, wycelowała, gdzie miękko, i wypadła głową na dywanik przy łóżku.

Domownicy, otoczywszy kolebkę maleńtasa, którego znaleźli w wyśmienitym humorze, kiwali głowami. Krysia, licząca rok i dziesięć miesięcy, zajrzawszy do kolebki, rozpromieniła się:

– Rącki – tili... Nóziecki – tili – pokazywała rozstawionymi paluszkami – malusienka tili-tili...

Wobec czego nazwa „Tili”, używana żartobliwie, zdawałoby się przejściowo, przylgnęła.

Łóźeczko Tili stało więc w Jerce. Jerka była to dzierzawa domeny państwowej, którą Tol otrzymał na osiemnaście lat. Mały domek ekonomiczny stał na skrzyżowaniu szos: Leszno – Śrem i Kościan – Gostyń.

Do tego domku spłynęły jakimś cudem ocalałe rozbitki: jakieś trochę trofeów z polowań najstarszego brata w Afryce i w Azji. Jakieś obrazy Walentego Wańkowicza, Czechowicza, Smuglewicza, rękopisy Bartelsa, nieco portretów rodzinnych; wszystko to – w tym domku przy skrzyżowaniu dwu szos, dwu traktów, przy skrzyżowaniu jakichś nie w pełni nam wówczas znanych rzutów idących z głębi dziejów w głąb przyszłości.

Sześć główin dziecinnych znowu rosło ze stratowanego życia. Jur, Hania, Rom, Irenka – Tolów; Krysia oraz Tili – nasze.

Naokół był pas pól buraczanych, swąd gorzelni, zgrzyt wąskotorówki, tak zwanej „bimby”, bo jechała, ostrzegając dzwonieniem w wielki dzwon. Dalszy pas – jaśnie wielmożnych sąsiedztw, połączonych wszelakim powinowactwem, które najeżdżały rajdami gwiazdzistymi domek przy zapyłonym trakcie. Coś widać emanowało z tych starych portretów i z tych ludzi startych w pierwszym ruszeniu międzyepoki.

Spotkały się dwa ziemiańskie elementy – wschodni i zachodni. Zabawnie, oni tam w Poznańskim – mimo pałaców, lokai, aut – byli bliżsi ludu i bardziej demokratyczni, a zarazem bardziej obskurancy² i bardziej prostaczkowaci, a równocześnie więcej cywilizowani. W parafii kościańskiej, w której osiedli Tolowie, ziemianin utytułowany przeproszał parafię ustami proboszcza z ambony za zgorzenie, jakiego był

² Obskurancy – zacofani, niepostępowi.



Zofia Wańkiewiczowa z Małagowskich (żona Melchiora Wańkowicza) z córką Krysią, 1919.





Tyleż było Królestw Jasności, tak chyżymi krokami biegł dzień od wschodu do zachodu, że bosc nogi nie nadążały śmigać, a Sargas – machać frędzlowatą kitą w nieustannym galopie.

Bo kursa były niemałe – pod górą, na której stał dom, płynęła Niewiaża. Jeśli na górze przy obejściu było Królestwo Jasności, to tu nad Niewiażą była jasność sama, skondensowana, świetliście trwająca.

Najprzód więc był brzeg piaszczysty, płytko wchodzący w wodę, żeś widział na dnie każdą ryskę i każdą muszelkę. Dalej pod krzakami było pełno lilii wodnych – tych żółtych i tych białych – nenufarów. Wlazłszy do czółna i podgramoliwszy się pod zwisające ożyny, można było nie tylko objeść się setnie, ale skuliwszy się w gęstym cieniu, którego nie przebijało słońce, wyobrazić sobie, że zagon tatarski idzie łąkami, a tu oto się siedzi i przeczekuje, aby nie dostać się w jasyr.

Mama, zaniepokojona zniknięciem łodzi, czasem nawoływała nad ożynami i wówczas doskonale było sobie wyobrazić, że Mama to Tatarzyn, który wpadł komunikiem⁹³, i zataić się za cenę spóźnienia na obiad, i wydziwiania Reginowej o mądrzejszym Sargasie, który uznał chowanie się od Tatarów za głupią zabawę i na czas zameldował się do swojej miski.

Jeśli zważyć, że te niezliczone Królestwa Jasności zmieniały swoje nasilenie świetlne, barwę, aromat i zdarzenia w nich dziejące się już nawet nie co godzinę, a co kwadrans, i jeśli zważyć, że zmieniały się przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, wianuszkami kolorowych paciorków sunących przez życie, to się dopiero zrozumie szaloną dynamikę dziecinnego życia, przeżywającego wszystko w takim napięciu, że, zdawałoby się, młode duszki pójdą w strzępy.

Jakże bo! Ta sama Niewiaża, zielona ożynami i nenufarami połyskliwa, polerująca muszle i kamienie... nagle wzbiera krami, na których poważne wrony polują na rybki, chrzęści, nie dopuszcza na tamtą stronę, doktor do chorego nie dojdzie, pogrzeby się odkłada, bo nieboszczyka nie da się przepawić za rzekę na cmentarz.

Toż dopiero trzeba ducha kozackiego, aby się dostać do leżących na tamtej stronie Nowotrzeb!

W normalnym czasie była to łatwa przeprawa, funkcjonował bowiem prom dworski. Ilekroć Reginowa urządziła świniobicie, Mama z Krysią uciekały na cały dzień do tych Nowotrzeb, zostawiając przy Reginowej Chłopka-Roztropka, który je wieczorem witał z uchem lub ogonkiem, zachwalając „amatołski kawalek”.

Ale teraz kra dzieliła bezapelacyjnie oba dwory.

Pewnego dnia Mama, zaniepokojona długą ciszą, jako że szedł zmierzch, wyprawiła się na poszukiwania, wypatrując po okolicy kity Sargasowej. Nie było jednak nigdzie śladu psa ni dzieci, aż wreszcie, dobrze już za ciemna, przybiegł zaafierowany Sargas, trącąc pyskiem kolano i namawiając, żeby iść za nim w kierunku rzeki. Mama krzyknęła na ludzi i już biegła. Dognali ją z latarniami i bosakami. Z ciemności

⁹³ *Komunik* – w staropolskim wojsku oddział szybkiej konnicy.



Krystyna i Marta (Tili) Wańkiewicz. Z archiwum rodzinnego Autora.



pięć od szpitala, bez samochodu, bez telefonu, a wprawy w rodzeniu, jak dotąd, nie miałam, i nie bardzo wiedziałam, czy zdążymy.

A odrywać się od pracy na farmie zbyt wcześnie w żaden sposób by się nie dało.

Z wizyty u lekarza na dwa tygodnie przed teoretycznym terminem wróciłam do domu uspokojona, że to jeszcze dużo czasu.

Urządziłam wielkie pranie, ugotowałam kolację, podziwnęłam szybko wstawioną przez Jana i poszłam spać. Spałam jak kamień i bodajże przespałam wielką część bólów porodowych. Jan mi potem mówił, że stękałam przez sen. Rano spieraliśmy się, czy mam jechać do szpitala. Jan z wrodzonym sobie uporem postawił na swoim, opatulił mnie w swój ciepły płaszcz i wsadził do auta sąsiada, który co dzień rano o siódmej jeździ do pracy. Tak więc około ósmej zjechałam wreszcie do szpitala.

O dziesiątej powieszono mnie na salę położową. Przemknęło mi przez głowę, że Jan tam siedzi z wiadrami po kurnikach i ani się domyśla, że to już.

Na stole ostatecznie skręciło mnie i zapało dech. Ciało sprężone w wysiłku, aż czułam drżenie mięśni. Drący ból, na którym skoncentrowałam się tak bardzo, że słyszałam swój głos jakby głos osoby obcej, jakbym się rozdziwiła. Głos ten mówił jakieś głupstwa, że się rozedrę na dwoje czy coś takiego. Doktor zapewnił flegmatycznie, że nie ma obawy, i chcieli mi nałożyć maskę z eterem, ale ją odepchnęłam, bo pamiętałam, jak sobie przyrzekłam, że chcę rodzić całkiem świadomie. Czułam, że doktor nadcina, ale przy moich bólach to było jak lekkie ukłucie. Potem spiętrzony ból i nagle ulga, raptowna cisza w oszołamiającym huku.

– Główka już przeszła, niech pani wypocznie – mówił doktor, a mnie ogarnęło zdumienie, że to już naprawdę.

Wnet przyszedł następny skurcz, czułam przepychające się małe ciało, wyślizgujące się z mego ciała, znowu ból łamiący kości, znowu wielki spokój ulgi w bólu i potem – krzyk żywego człowieka, którego urodziłam.

– Dziewczynka – powiedział doktor.

Ogarnęło mnie uczucie pijanego, nieprzytomnego szczęścia, którego nie umiem i nikomu nie potrafię wytłumaczyć. Myślę, że Pan Bóg musi się tak czuć cały czas.

Nigdy jeszcze nie przeżywałam równie mocnego, równie szczęśliwego wstrząsu. Leżałam na tym stole rozrzucona, wciąż jeszcze drżąc z wysiłku, słuchając płaczu dziecka, smakowałam własne wielkie szczęście rodzenia. Nie faktu posiadania dziecka czy rodziny, nie pomyslnego rozwiązania, tylko właśnie samej funkcji rodzenia, która mi dała tak pełne, głębokie zadowolenie.

Gdzieś, poza mną, ledwo docierając do mojej świadomości, mówił głos doktora: „Ta to się urodziła na matkę”, a potem przez szum w głowie przebiło się pytanie:



Melchior Wańkowicz, lata 70.

– Chce pani zobaczyć dziecko?

Podniosłam głowę i spojrzałam. Doktor podniósł do góry oślizgłego małego potworka, umazanego w mojej krwi, nieodciętego jeszcze ode mnie; mała buźka była wykrzywiona krzykiem, zlepione kosmyki długich czarnych włosów oblepiały głowinę. Chwyciło mnie coś za gardło. Wzruszyłam się tak, że aż mnie to zakłopotало, i myślę, że głównie dlatego, że nie chciałam dzielić mego wzruszenia z obcymi ludźmi, powiedziałam: „Ależ szpetna!...” – na co Ania wrzasnęła jeszcze przeraźliwiej, jakby rozumiała. Wykrztusiłam z siebie łożysko (co niewiele różni się od porodu) i ogarnęła mnie błoga świadomość, że to już koniec. Czułam się świetnie i zdawałam sobie sprawę właściwie tylko ze zmęczenia psychicznego. Nic już nie rozdymało żeber, brzuch zwiotczał, z prawej strony jeszcze się we mnie coś piętrzyło bez sensu, skoro już po wszystkim.



Spojrzałam w lewo, na zegar ścienny. Była godzina 10 minut 16. Tylko 16 minut. Zdziwiłam się. Zdawało się, że dni całych by nie starczyło na tak intensywne wypalenie się uczuciowe.

Masz rację, Kingusiu, że kobiety bez sensu szantażują mężczyzn porodem. Biedni mężczyźni, że nigdy tego nie mogą przeżyć. Chyba nie ma wrażenia w życiu ludzkim, które może się z rodzeniem porównać.

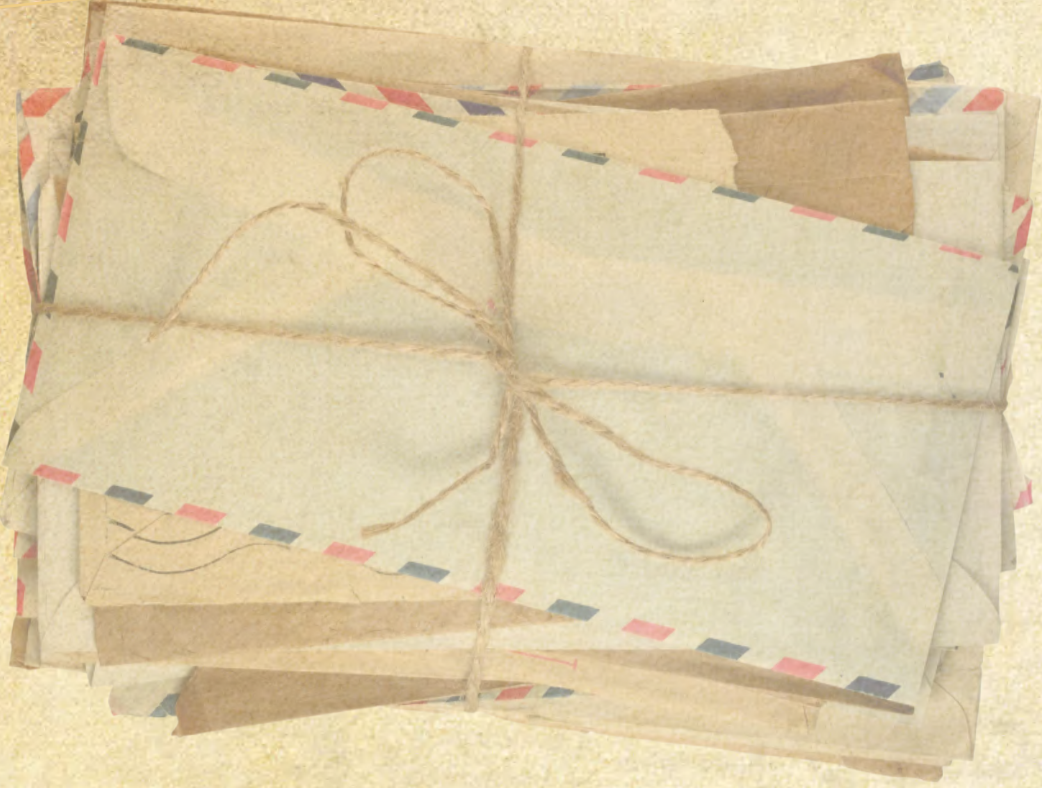
Tego wieczoru Jan przyszedł do szpitala z różami i bardzo wzruszony.

Po ośmiu dniach wróciłam do domu, bo czas był ciężki i trzeba było oczyścić kurniki na przyjęcie dziewięciuset jednodniowych kurcząt, i Jan pracował dniem i nocą jak wariat, nieraz zupełnie bez snu. Pranie czekało, nowe się piętrzyło, kuchnia brudna potwornie i piwnica także, i tysiąc innych rzeczy. Powoli się wyrównuje, bo musi. Najważniejsze, że Ani już się nie boję, bo widzę, jak jej buzia pyzacieje z dnia na dzień, i doktor orzekł, że jest zdrowa jak rydz. Lubię ją z każdym dniem więcej. Z początku ujmowała mnie tylko jej bezradność i całkowita zależność ode mnie we wszystkim – od karmienia do przewracania na brzuszek – i brało mnie za serce to, że była jakby dotykalnym symbolem naszego bardzo szczęśliwego pożycia. Teraz wydaje mi się coraz śliczniejsza. *Sama się dziwię, skąd mi się bierze tyle cierpliwości i jak mi nie ciąży obrządzanie jej czy wstawanie w nocy. Mądrze to Pan Bóg urządził jakoś.*

Spis treści



KIEŁKOWANIE.....9	ODROST257
Wielkopolskie niemowlęstwo..... 9	Jak broniło powietrze?.....257
Warszawskie dzieciństwo 18	Pierwsze wiązki ziela.....260
Od liter do literatury 36	Srebrne wesele277
Na Chełmszczyźnie..... 45	OWOCOWANIE.....283
Na Litwie Kowieńskiej 57	Jak długo nastarczą ręce
Domeczek 78	mamine?.....283
Niegodne praktyki Taty.....101	Jak długo jeszcze będzie
Czy przycinać?.....112	potrzebny ojciec?.....286
ROZROST125	OGNIE PODCHODZĄ.....299
Wodami Polski125	Anglicy w Domeczku.....299
Drogami Podkarpacia.....132	Domeczek się broni.....306
Szczenięce lata147	Ognie doszły.....315
Po Kresach.....149	Ziele na kraterze325
Krynolinki.....157	Powstanie.....328
Konspiratorzy.....166	POPIÓŁ.....333
Matura przy błysku piorunów176	Losy szesnastki333
Smak przed jazdą180	<i>Non omnis moriar</i>336
Uniwersyteckie wspominki.....192	Brat.....342
Pedałowanie przez Europę.....201	Matka.....345
Jakże zielono w Gołańczy!.....223	Relacja łączniczki Zofii.....351
WYKORZENIANIE.....231	Relacja łączniczki Leny.....351
Lawa231	EPILOG I PROLOG.....353
Ratowanie się233	List do Krysi.....353
Chlorofil.....238	List od Tili358
Trwanie.....246	POSŁOWIE.....363





„Radość wzrostu i rozpacz zniszczenia były w każdej rodzinie. Pisałem przez pryzmat dla mnie najwyrazistszy – własnego domu. Ten dom w czasie pokoju miał swoje cechy ujemne, w czasie okupacji nie całopalił się, w czasie pogromu nie został porażony więcej niż inne domy. Chciałbym więc tylko, aby czytający przez jego dzieje ujrzeli dzieje swoich domów i swoich rodzin, i żeby wspomnienie wywołane rozdarło na chwilę nieznośny osad życia. (...)”

W SERII KOLOROWA KLASYKA POLECAMY:



I INNE TYTUŁY

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl

Kolorowa
Klasyka

ISBN 978-83-7517-881-4



9 788375 178814 >